

LAVIE

NR 5 (25) 2018 10 ZŁ (W TYM 8% VAT)

MAGAZINE

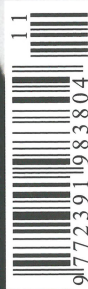


#MAJEWSKA

SZWARCMAN OSOKINS PASTOR
PÄRT PINKWART RÓŻEWICZ SUCHORA



ISSN 2391-9853 INDEKS 40600





ŻYCIE CHCE

TEKST: AGNIESZKA FIEDOROWICZ
ZDJĘCIA: MATEUSZ STANKIEWICZ

Gwiazda polskiej estrady **Alicja Majewska** znana z takich przebojów jak: *Jeszcze się tam żagiel bieli*, *Być kobietą*, *Odkryjemy miłość nieznaną* czy *Wszystko może się stać*, w wywiadzie dla La Vie opowiada o pracy nad nową płytą, która ukaże się już w marcu, o tym, dlaczego zmiany jej nie służą i dlaczego dostała naganę w indeksie na trzecim roku studiów.

Pokaże mi pani swój słynny czerwony garnitur?

Och, mam w szafie niejednego. Ale ten słynny z Opola, projektu Macieja Zienia, oczywiście też tam jest. Kiedyś pewien biznesmen, zamawiając nasz koncert upewniał się, czy wystąpię w tym garniturze. To ubiór dla mnie szczególny, bo w nim zaśpiewałam ze Zbyszkim Wodeckim w duecie piosenkę *Lubię wracać tam, gdzie byłam* w Opolu, w 2015 roku.

Następnego dnia o tym występie mówiła chyba cała Polska!

Ja nigdy wcześniej ze Zbyszkim tej piosenki nie śpiewałam, ale gdy mi to zaproponował, bardzo się ucieszyłam. W noc przed koncertem mam telefon od reżysera, który pyta, czy możemy tym duetem ze Zbyszkim rozpocząć festiwal? Oczywiście ostatnie słowo należało do Zbyszka. Zgodził się. A u mnie pojawił się problem. W co się ubrać? Na swój solowy występ, który miał być później, sprawiłam sobie kostium na wzór tego, w jakim śpiewałam w 1980 roku *Jeszcze się tam żagiel bieli*. Ale nie mogłam przecież go spalić i pokazać się w nim wcześniej. Na szczęście w walizce miałam też czerwony garnitur. A ten wspólny występ to był najwspanialszy prezent, jaki dostałam od Zbyszka. Ile ja od niego prezentów w życiu dostałam. Zbyszek potrafił zrobić mi niespodziankę i ku wielkiej uciechy publiczności pojawić się na scenie w trakcie mojego występu z bukietem kwiatów. Bo akurat koncertował w Gdańsku, a ja w Szczecinie, i wpadł „po drodze”. Kiedyś dał mi nawet rower! Raz w życiu się na nim przejechałam.

Nie lubi pani jeździć na rowerze?

Nigdy się pewnie nie czułam, jeśli chodzi o jazdę na rowerze. A tamten rower dostałam z okazji parapetówki, którą urządziłam po wielu latach remontu mojego domu. Pod koniec przyjęcia zrobiłam tą damką rundkę po osiedlu, ale uznałam, że jest wyjątkowo wywrotna i sprezentowałam ją komuś. Nie ma rozmowy w gronie kolegów, podczas której byśmy Zbyszka nie cytowali, albo nie zastanawiali się: *A co on by teraz powiedział?*

A co by powiedział, gdyby wiedział, że Majewska wydaje w marcu nową płytę?

Pewnie by się zadziwił, że mi się jeszcze chce i współczuł,

Piosenka musi mieć tekst, który ma jakieś związki z literaturą, i muzykę zgodną z moją emocjonalnością. Taka piosenka mnie niesie. I unosi 10 centymetrów nad ziemią.

że znów czeka mnie praca z fanatykiem perfekcji do szlag trafienia. Tak mówił o Włodku Korczu. I to prawda, co nie zmienia faktu, że z Włodkiem pracuję, pracowałam i będę pracować na wieki wieków (śmiech). Tylko on potrafi wydobyć ze mnie wszystko co najlepsze, o co się nawet sama nie podejrzewam. Jego piosenek łatwo się słucha, trudniej uczy. Zwłaszcza, gdy na płytę przygotowuje się ich jednocześnie 12. To są godziny żmudnej, forsownej fizycznie i emocjonalnie, pracy. To jest poszukiwanie drogi do prawdy artystycznej, ale jak już udaje się do niej zbliżyć, zakochuję się w moich piosenkach. A to dopiero daje szansę, by ktoś oprócz mnie je pokochał.

Nie mogłaby pani zaśpiewać piosenki, z którą się nie utożsamia?

Mam taką przypadłość. Jak mnie coś uwiera, w tekście czy melodii, to nie jestem w stanie tego przeskoczyć. Są takie piosenkarki jak Irena Santor, o których się mówi, że mogłyby zaśpiewać książkę telefoniczną – ich głos, rodzaj artykulacji, potrafi nobilitować nie całkiem doskonałe dzieło. Jeśli chodzi o mnie, to piosenka musi mieć tekst, który ma jakieś związki z literaturą, i muzykę zgodną z moją emocjonalnością. Taka piosenka mnie niesie. I unosi 10 centymetrów nad ziemią. To też słowa Zbyszka.





Ma pani szczęście zarówno do kompozytora, jak i do tekściarzy. Od lat współpracuje pani z najlepszymi autorami. Pisali dla pani Wojciech Młynarski, Magda Czapińska, Andrzej Sikorowski, Jacek Cygan, Wojciech Kejne, Artur Andrus. Może pani zdradzić, po czyje teksty sięgnęliście z Włodzimierzem Korczem, podczas pracy nad najnowszą płytą? Czy trudno jest znaleźć dobry tekst? Trudno. Wielcy, których poetyka nas zachwycała – Przybora, Kreczmar, Kofta, Młynarski – odeszli. Śladem moich młodszych kolegów, którzy sami sobie piszą teksty nie podążę, mając świadomość, że tylko nieliczni (jak Młynarski, Kaczmarski) śpiewający autorzy czy też Wodecki, który cudownie śpiewał swoje piękne kompozycje, są posiadaczami wielu talentów. Pomimo to, udało się nam zdobyć i na tę poprzednią płytę, i na tę, którą teraz nagrywamy, piękne teksty Andrzeja Sikorowskiego, Tomasza Misiaka, Magdy Czapińskiej, Moniki Partyk, która jest też autorką librett do oratoriów Włodka Korcza, no i Artura Andrusa.

Na pani poprzedniej płycie znalazł się jego utwór *O sercu szczerzotłym*, który śpiewacie w duecie. Podobno ta piosenka powstała błyskawicznie?

Artur o drugiej w nocy wysłał tekst Włodekowi, a Włodek usiadł przy fortepianie i o trzeciej w nocy piosenka była gotowa. Na szczęście nie kazali mi się jej uczyć o czwartej rano (śmiej).

A pani w tym procesie twórczym wnosi swoje poprawki?

Mistrzów nie poprawiam. Ale bywa i tak z piosenkami, że przy pierwszym przesłuchaniu człowiek nie poznaje się na urodzie utworu i... odrzuca prawdziwe arcydzieło! Jerzy Połomski dostał propozycję zaśpiewania utworu *Jej portret*, Jonasza Kofty i Włodzimierza Nahornego, i nie „poczuł” tej piosenki. Nagrał ją, nieznany wtedy jeszcze Bogusław Mec, i zrobił karierę.

Ma pani podobne doświadczenia?

Tak. Dzięki temu, że nie „poczuła” koleżanka, zyskałam jedną z najpopularniejszych moich piosenek *Odkryjemy miłość nieznaną*. Wojtek Młynarski i Włodek Korcz napisali ją dla Danuty Błazejczyk, która rok wcześniej zadebiutowała w Opolu ich piosenką *Taki cud i miód*.

Mistrzów nie poprawiam. Ale bywa i tak z piosenkami, że przy pierwszym przesłuchaniu człowiek nie poznaje się na urodzie utworu i... odrzuca prawdziwe arcydzieło!

Bo miłość to taki standard, taki cud i miód, evergreen...

Z tą piosenką też wiąże się zabawna anegdota, bo Młynarski z Korczem zasiadali wtedy w komisji egzaminującej piosenkarzy. Gdy usłyszeli wspaniałe mięsiste głosisko Danki, to z miejsca zaproponowali jej, by zaśpiewała ich piosenkę w Opolu. Odniosła tym *Taki cud i miód* sukces, i dla niej napisali *Odkryjemy miłość nieznaną*. Ale jej się ten utwór nie spodobał. Więc Włodek Korcz przyjechał do mnie i mówi: *Wiesz, mam tu piosenkę. Napisaliśmy ją dla Danki, ale jej się nie podoba*. Jak usiadł do pianina, to ja się z miejsca w tej piosence zakochałam. Wtedy Włodek nieśmiało mówi, że zagrał Danusi tę napisaną dla mnie piosenkę i ta jej się bardzo spodobała.

Sprytne!

I tak pojechałyśmy obie do Opola, ja z jej piosenką, ona z moją – i obydwie wróciłyśmy z nagrodami. Na tym ta historia się nie kończy, bo wiąże się z nią jeszcze inna anegdota. Otóż, postanowiłam na ten festiwal sprawić sobie nową kreację, taką, jak to się teraz mówi, trendy. Modne było wtedy złoto. W sklepach nic nie było, ale moja krawcowa Helenka – postać warta osobnej opowieści – uszyła mi ze starych złotych spodni obcisłą spódniczkę i obszyła złotem, kupiony w RFN, gorsecik. Szyła tę kreację po nocach, a ja donosiłam jej „dopalacze” w postaci wódeczki. Jak już wszystko ześciboliła, to założyłam kreację na próbę kostiumową.

Wyglądałam naprawdę sexy – orkiestra jęknęła na mój widok – ale widziałam, że Włodekowi się nie bardzo ten ubiór podoba. Skonsultowałam to z Wojtkiem Młynarskim, który po próbie przyszedł do mojej garderoby i mówi: *Pięknie zaśpiewałaś, ale masz może, jakąś inną sukienkę?* I wystąpiłam w innej. Ale to jeszcze nie koniec. Bo tę anegdotkę opowiedziałam podczas jednej z konferencji prasowych, a jeden z dziennikarzy całkiem przekręcił sens tej opowieści i napisał, że Młynarski „upokorzył” mnie w Opolu, że niby skrytykował mój ubiór i ja do dziś z tego powodu po nocach nie śpię.

Nie wygląda pani na niewyspaną.

Prawda? No, ale w gazecie napisali, to widać musi tak być. Jak ja to zobaczyłam strasznie się zdenerwowałam, że jak Wojtek to przeczyta, to pomyśli, że pracowałam z idiotką. Ten dziennikarz parę miesięcy później do mnie zadzwonił w innej sprawie. Upewniłam się, czy jest autorem tego tekstu, i choć na co dzień nie używam brzydkich słów, to wtedy wyjątkowo dosadnie powiedziałam mu, co o nim myślę.

Plotka wyleci wróblem, a powróci wołem...

Niestety. Tak było w przypadku, gdy pozwoliłam sobie w programie telewizyjnym wspomnieć, że emerytury artystyczne są niewielkie...

...a z wróbla zrobił się wół, że Alicja Majewska musi sprzedać dom, bo nie ma go za co utrzymać.

Sąsiadki do mnie przychodziły i pytały, czy to prawda, że sprzedaję dom. Wyszło na to, że się żalę, a ja narzekać mogę jedynie na nadmiar pracy, bo dzięki Bogu, nie wiem dlaczego, ale ludzie chcą nas słuchać, więc dużo z Włodekiem koncertujemy. A ukochanego domku na Zaciszu nie zamieniłabym na willę w najbardziej prestiżowej lokalizacji.

Dobrze jest tak, jak jest?

Tak. Ważne jest, by to, co się robi, robić rzetelnie, a profity same się pojawiają. A jak już ma się z czego żyć, ma się dom, samochód, trochę oszczędności, to ważne jest, żeby się dobrze czuć, żeby praca była przyjemnością.

Praca to naprawdę musi być przyjemność w pani przypadku. Gdy patrzę na pani trasę koncertową na nadchodzący rok, to jestem pełna podziwu!

Ja też się nie mogę nadziwić; od tylu lat robimy to samo – Włodek gra na fortepianie, ja śpiewam. Staramy się robić to jak najpiękniej, bez żadnych baletów na scenie i fajerwerków, tylko kwartet smyczkowy. Śpiewam od lat prawie ten sam repertuar, a publiczność wypełnia sale koncertowe. Po koncercie przychodzą mili ludzie, mówiąc o wzruszeniach, przeżyciach, łzach, radościach. Dowartościowują moje śpiewanie, a nawet istnienie. Życ się chce. Na nowej płycie będzie nawet piosenka o takim tytule. Będę ją śpiewała na koncertach, ale i tak wiem, że publiczność będzie się domagała *Żagla i Odkryjemy miłość nieznaną*.

Widocznie dobry repertuar się nie starzeje.

Włodek też mówi, że muzyka powinna być dobra, a nie modna.

I taka muzyka może dawać ludziom więcej niż nam się wydaje. Oliver Sacks, zmarły niedawno światowej sławy neurolog, w książce *Muzykofilia. Opowieści o muzyce i mózgu*, przytacza za Marceliem Proustem stwierdzenie, że: *muzyka jest jedynym przykładem tego, czym mogłoby być porozumienie dusz, gdyby nie było wynalazku mowy, formacji słów, analizy myśli*.

To prawda. Muzykę czujemy, nawet gdy nie rozumiemy słów.

Czy wspólnemu muzykowaniu najbliższe jest do telepatii? To także Sacks.

Jeśli mówimy o muzykach improwizujących, to tak. Ale we wspólnym śpiewaniu najważniejsze jest współbrzmienie. Chodzi o to, żeby głosy się kleiły. Podobno ja mam barwę głosu, która klei inne, to samo miał Zbyszek...

...który dziś ciągle nam towarzyszy w rozmowie.

On tu zawsze siadał, na tym krześle, na którym ja teraz siedzę. A wspólne śpiewanie to jest przeżycie fizyczne i duchowe. Pamiętam koncert kolęd w 1991 roku, który nagrywaliśmy w Teatrze STU w Krakowie. Włodek Korcz przy fortepianie, śpiewałam ja, Halinka Frąckowiak i Andrzej Zaucha. Śpiewaliśmy wspaniałe teksty, m.in. Ernesta Brylla, Wojciecha Kejne, Wojciecha Młynarskiego. Te kolędy niosły prostotę, bliskość, serdeczność. Włodek potem przyszedł do nas, objął i powiedział: *Kiedy śpiewacie, kocham was wszystkich!*





To było moje ostatnie spotkanie z Andrzejem Zauchą, który zginął dwa dni później.

A wracając do fenomenu żagla, który się bieli.

(śmiej) Ludzie kochają tę piosenkę, choć czasem muszę się z niej tłumaczyć. Bo to, że męska rzecz być daleko, a kobieca wiernie czekać, nie przystaje do naszych czasów. Tłumaczę, że Wojtek Młynarski nie napisał tego jako drogowskazu, że kiedyś przecież powinnością mężczyzny było zabezpieczyć byt, obronić, często być daleko. Świat się zmienił, teraz bywa, że czasem jest odwrotnie, że kobieca rzecz to być daleko, a męska wiernie czekać.

Pani w swojej karierze zawodowej często była daleko. Objechałam kawał świata. Na pierwsze tournée – po Związku Radzieckim – pojechałam jeszcze jako studentka pedagogiki. Przez tę podróż powtarzałam trzeci rok.

A ja czytałam, że przez szampana.

Nie tylko przez szampana, choć był i szampan, po raz pierwszy kupowany na szklanki w Petersburgu, wtedy Leningradzie. Wszystko było wtedy takie „po raz pierwszy”, nowe i fascynujące: pierwsza podróż samolotem, bagażowi, którzy nosili walizki w hotelach. Trasa od Syberii po Azję. Jednego dnia byliśmy w upalnym Taszkencie – plus 40 stopni, a następnego lecieliśmy samolotem do Nowosybirsk – minus 40 stopni, trzeba było prosto z drzwi hotelu wskakiwać do autobusu, żeby nie zamarznąć. Jako dziecko cierpiałam na chorobę lokomocyjną, w pociągu zawsze jeździłam przodem do kierunku jazdy, ale ciągłe podróże wyleczyły mnie z tej przypadłości. I ta egzotyka: arabskie targi, inna obyczajowość – nie było mowy o wejściu do restauracji w szortach. Była wtedy moda malowania oczu na niebiesko, i jak weszliśmy do sklepu z materiałami w Taszkencie, to sprzedawca w ogóle na nas nie patrzył, żebyśmy go nie zauroczyły. I ta publiczność. Ludzie w Związku Radzieckim byli odcięci od świata, więc dużo czytali i słuchali muzyki – to była niezwykle wrażliwa publiczność. Czuło się na każdym kroku serdeczność, życzliwość. Potrafili spóźnić się do pracy, by zaprowadzić mnie – cudzoziemkę – pod adres, którego szukałam.

To chyba warto było zaważyć ten rok.

Z perspektywy lat nie żałuję. Zaczęło się od tego, że miałyśmy z Anią Pietrzak moją przyjaciółką, propozycję wyjazdu do Finlandii. Miałyśmy śpiewać do kotleta, więc musiałyśmy zrobić uprawnienia gastronomiczne – zdać egzamin z repertuaru światowego, którego w życiu nie śpiewałyśmy. Proszę sobie wyobrazić ten egzamin: my, studentki w sukieneczkach z kołnierzykami, a obok nas zdające artystki wystrojone jak do lokalu – dekolty, biusty na wierzchu. Ale mieli płacić w dolarach – my już sobie wymarzyłyśmy, co za te 300 dolarów kupimy. To była astronomiczna kwota. Moja przyjaciółka studiowała w Studium Języków Obcych i prosiła dziekana o urlop na ten wyjazd, a on jej odmówił. Więc zamiast do Finlandii pojechałyśmy do Związku Radzieckiego, ale wyjazd się przedłużył i zamiast w sierpniu, miałyśmy wrócić pod koniec września. A ja miałam we wrześniu obowiązkowe praktyki pedagogiczne. Moje koleżanki ze studiów wzięły więc mój dziennik praktyk i zbierały za mnie podpisy – codziennie w innym zakładzie. Niestety na roku była też inna koleżanka, która chciała być artystką, a nie dostała się do szkoły teatralnej, i prawdopodobnie to ona na mnie doniosła, oczywiście z zazdrości. Grunt, że wezwwała mnie sekretarka dziekanatu, zażądała zwrotu dziennika praktyk. Chcąc chronić uczynne koleżanki, które brały za mnie podpisy, skłamałam, że kiedy moi rodzice – pedagodzy – dowiedzieli się o oszustwie, zniszczyli

We wspólnym śpiewaniu najważniejsze jest współbrzmienie. Chodzi o to, żeby głosy się kleiły. Podobno ja mam barwę głosu, która klei inne, to samo miał Zbyszek Wodecki...

ten dziennik. Dostałam naganę w indeksie i musiałam powtarzać rok. A że wszystko oprócz praktyk miałam zaliczone, więc ruszyłam z powrotem w trasę i całą wiosnę spędziłam w ZSRR. Teraz się to opowiada jako zabawną anegdotkę, ale wtedy to była afera, rodzice byli zawiedzeni.

A jak przyjęli fakt, że pomimo studiów pedagogicznych zdecydowała się pani na karierę estradową?

Studia pedagogiczne były złem koniecznym. Ponieważ nie miałam wykształcenia muzycznego, nie mogłam wybrać muzycznej uczelni, a jakieś studia trzeba było przecież skończyć. Jestem więc magistrem andragogiki, ale szczęśliwie żyję śpiewaniem i ze śpiewania. Rodzice oczywiście byli dumni, cieszyli się sukcesami, przemilczali porażki, które ja z kolei potwornie przeżywałam.

Najpierw był wielki sukces, nagroda główna na festiwalu w Opolu za *Bywają takie dni* w 1975 roku.

I zaraz potem była wielka porażka – festiwal w Sopocie, z którego koleżanka wróciła z nagrodą, a ja bez. Musi pani pamiętać, że wtedy byłam na początku drogi piosenkarskiej, a nagrody na festiwalach budowały pozycję młodego artysty. To była radość, ale i straszny stres! Człowiek się trząsł, jak widział na szosie tablicę z napisem Opole.

Ale wtedy w Opolu poszła pani spać, nie czekając na werdykt.

Poszłam do hotelu, bo mój mąż – znany dziennikarz telewizyjny i konferansjer, Janusz Budzyński – widząc, jak to przeżywam stwierdził, że nie będziemy czekać w restauracji. Ale zasnąć nie zasnęłam. A Sopot – to było dopiero przeżycie. Międzynarodowy festiwal. Gdy jechałam do Sopotu mama dała mi karteczkę: *Zielonego światła przy pokonywaniu tej najwyższej poprzeczki*. Ja po ścianach chodziłam z rozpacz, jak stamtąd wróciłam bez nagrody. Mąż mnie do Szczawnicy wywiózł, żebym w górach jakoś doszła do siebie. Miałam straszne uczucie niezdanego egzaminu, sprawienia zawodu tym, którzy we mnie wierzyli. Wydawało mi się, że to koniec kariery – koniec świata. Trzeba dużego wsparcia, żeby dalej robić swoje i wyjść na swoje. Szczęśliwie dziś już nie muszę brać udziału w konkursach.

Alicja Majewska może zaśpiewać, nawet gdy nie jest w stanie mówić – zaśpiewa, i to tak, że wróci z główną nagrodą festiwalu.

Wychodzę z założenia,
że warto być sobą.
I nie zmieniać tego,
co jest dobre.
Przywiązuję się
do kompozytora,
projektanta, kosmetyczki.

Tak było w Hawanie na międzynarodowym festiwalu OiRT w 1985 roku. Po 14 godzinach lotu zaniemówiłam. A potem wyszłam na scenę i zaśpiewałam, wygrywając festiwal. To pokazuje, że możliwości ludzkiego ciała są zdumiewające, nieraz zaskakaliśmy naszych lekarzy foniatorów z warszawskiej przychodni na Banacha, którzy mówili: *To niemożliwe, żeby pani z tą anginą zaśpiewała*. A ja śpiewałam!

Skąd Alicja Majewska bierze tę pozytywną energię?

Mam taką osobowość, trochę to pewnie zasługa genów. Moja mama też tryskała taką życiową energią, a ukochana ciocia Alinka, moja chrzestna mama, była ukochaną przez pacjentów dentystką, pod której gabinetem zawsze ustawiały się kolejki, do każdego podchodziła z uśmiechem, a ja dzięki niej, do dziś nie mam urazu do fotela dentystycznego. Ten życiowy optymizm bierze się też z tego, że mam wielkie zaufanie do ludzi i świata. Może jest w tym jakaś naiwność, ale wydaje mi się, że nigdy nie spotkało mnie ze strony ludzi nic paskudnego. Poza tym dbam o siebie, regularnie się badam, a fizjologia póki co, jest dla mnie łaskawa.

Większość z nas, jak wynika z badań, czuje się młodziej niż pokazuje nasza metryka – średnio o 8 lat. A na ile czuje się Alicja Majewska?

W 2015 roku na 90-lecie Polskiego Radia, ja i Włodek zostaliśmy uhonorowani Złotymi Mikrofonami, i usłyszeliśmy wtedy, że na diamentowe jesteście już młodzi. Też tak myślę, bo, jak śpiewam na nowej płycie w jednej z piosenek autorstwa Magdy Czaplińskiej:

